



Wiesław Uchański

NAKŁADCA CZY WYDAWCA? OTO JEST PYTANIE

Z Wiesławem Uchańskim, prezesem Wydawnictwa Iskry, rozmawia Wojciech Kass.

Wojciech Kass: Dwa lata temu Wydawnictwo Iskry obchodziło 50-lecie istnienia. Ten jubileusz przypadł na okres pańskiej prezesury. Czy mógłby pan spróbować określić pozycję Iskier przed rokiem 1987, a więc zanim przejął pan stery w wydawnictwie?

Wiesław Uchański: Wygrałem konkurs, ale był to konkurs z handicapem. W tym czasie handicapy polityczne odgrywały ważką rolę. Nie ma się czym chwalić, stwierdzam po prostu fakt..

- To ładnie, że pan o tym mówi. Wróćmy jednak do pytania.

- Iskry miały szczęście do szefów. Pierwszym z nich była Celina Milska, ale prawdziwa polityka wydawnicza rozpoczęła się od Jerzego Wittlina. Przewodził on Iskrom do 1968 roku, kiedy to przejął Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe. W jego zespole jako recenzenci pracowali m.in. Wiesław Myśliwski, Tadeusz Konwicki, Piotr Kuncewicz. Wittlin tworzył Iskry wzorując się na renomowanych wydawnictwach zachodnich, gdzie podstawą były serie wydawnicze. Wprowadził serię „Naokoło świata”, „ABC stolic świata”, tzw. czarną serię religioznawstwa, serie „Srebrnego kluczyka” czyli kryminałów i „Stańczyka” czyli satyry. Po nim Iskry objął Ignacy Gajewski, który bez większych zmian kontynuował wittlinowską linię. Moim poprzednikiem był Łukasz Szymański, syn poety Edwarda Szymańskiego. Za jego rządów ukształtował się zespół recenzencki - Waclaw Sadkowski, Henryk Bereza, nieżyjący Stanisław Zieliński, Andrzej Urbański – dzisiejszy wiceprezydent Warszawy. Szymański postawił na młodych. Uznał, że *spécialité de la maison* wydawnictwa będą debiuty. Ukazywało się ich, zarówno w prozie jak i poezji, kilkanaście w roku. Ale czy któreś z tamtych nazwisk istnieje w świadomości współczesnego czytelnika? Chyba nie. Może z wyjątkiem Tadeusza Siejaka. Z ówczesnego dorobku Iskier obecnie niewiele się ostało. Ale czy z faktu, że żaden

z tych autorów nie został wielkim pisarzem wynika, że działalność Szymańskiego była bez sensu? Czy literatura rodzi się tylko poprzez wydawanie i kreację wielkich? Czy też dlatego, że stwarza się dla niej odpowiednie podglebie? Gdyby twierdząco odpowiedzieć na to trzecie pytanie, to oczywiście Iskry za Szymańskiego miały wielkie zasługi.

- Kiedy został pan szefem Iskier pozostały jeszcze dwa lata do zniesienia reżimu.

- Dlatego mogę porównać, jak to było z wydawaniem książek wówczas, a jak jest teraz. Po pierwsze wydawnictwo nie mogło przynosić wtedy zbyt dużych zysków, ponieważ jego celem nie było zarabianie pieniędzy, tylko szerzenie kultury. Jeżeli więc wskaźnik rentowności przekraczał 30 proc., to w ministerstwie robiono awanturę, że wydawnictwo chciałoby zbijać kokosy na książkach i na czytelnictwie. Po drugie wymagano od nas stałego wzrostu ilości wydawanych rocznie tytułów. Iskry wydawały w tym czasie ok. 140 tytułów rocznie. Kiedy zbliżał się koniec roku i zaczynało brakować papieru a zgodnie z uchwałą KC PZPR trzeba było wykazać się progresją tytułów, to wydawano na raz kilka tomików poetyckich, które potrzebowały mniej papieru i statystyka się zgadzała. Istniały umowy bilateralne, aby państwa socjalistyczne wzajemnie wydawały swoich pisarzy. Ministerstwo więc chętnie rozliczało ukazujące się książki autorów czeskich, węgierskich, rumuńskich itd. Oczywiście trzeba to powiedzieć wyraźnie, że wydawani byli i wyjeżdżali do bratnich krajów pisarze dobrze widziani politycznie. Dysydenci nie mogli na nic liczyć. Obowiązywała lista i cenzura. Teraz szlag to wszystko trafił i nie wiemy co się dzieje w literaturze bułgarskiej czy węgierskiej. Nie wiem, czy to dobrze czy źle, ale ówczesne obligacje powodowały jakiś ruch, wymianę, co w efekcie dawało obraz literatur sąsiadów. W 1990 r. przeżyłem okres gwałtownej rewolucji, wszystko postawiono na głowie. Przy-

szedł czas na literaturę wcześniej politycznie zakazaną. Iskry wydały „Dzieci Arbatu”, które uchodziły za powieść ukazującą korzenie stalinizmu. W ciągu dwóch tygodni sprzedaliśmy 400 tysięcy nakładu. Pamiętam ogromne kolejki ustawiające się od czwartej rano pod firmową księgarnią Iskier. Dzisiaj tej powieści nikt by nie kupił. Na książkach demaskatorskich nie da się już zarobić. Był to okres odreagowania politycznego i potem – aż do dzisiaj – trwa normalizacja rynku.

- O ile wiem, Iskry dość szybko sprywatyzowano.

- W 1991 roku. Właściwie wbrew mojej woli ludzie sprywatyzowali wydawnictwo. Podczas gdy szefowie innych wydawnictw byli odwoływani przez pracowników i przez związki zawodowe - mnie zespół Iskier zatrzymał. Byłem jedynym, który przetrwał tę burzę. Na dodatek jedynym, który z woli tego zespołu (w tajnym głosowaniu ponad 90 procent pracowników oddało na mnie głos) został właścicielem większościowego pakietu udziałów, czyli w sensie prawnym człowiekiem nie do odwołania, właścicielem Iskier.

- Czy od tej chwili zaczynają powstawać zręby obecnej polityki wydawniczej Iskier?

- Zacząłem wydawać to, co sam lubię czytać. Bo jakoś nie wyobrażam sobie, aby z konieczności wciąż wydawać romanse czy powieści sensacyjne. Myślę, że Iskry dokonały kolejnej konwersji programowej i stały się wydawnictwem dla inteligencji. Zaczęliśmy specjalizować się w dziennikach, pamiętnikach, wspomnieniach i szeroko rozumianej biografistyce. Wydaliśmy dzienniki m.in. Kisielewskiego, Mętraka, Brandysa, Mycielskiego, Rakowskiego, Nizyńskiego.

- To jest intymistyka. Dlaczego właśnie ten typ literatury?

- Bo lubię taką literaturę. Oczywiście robię pewne wyłomy. Wydawca to schizofreniczny zawód. Jeśli za bardzo ulegnie promowaniu wysokiej kultury, szybko się zrukuje. Jeśli pójdzie wyłącznie w komercję i skoncentruje się na zarabianiu pieniędzy, to straci jakąkolwiek przyjemność z tej zabawy – satysfakcję duchową. Czuję się wolny, ale – jak mówił Spinoza – wolność to zrozumiana konieczność.

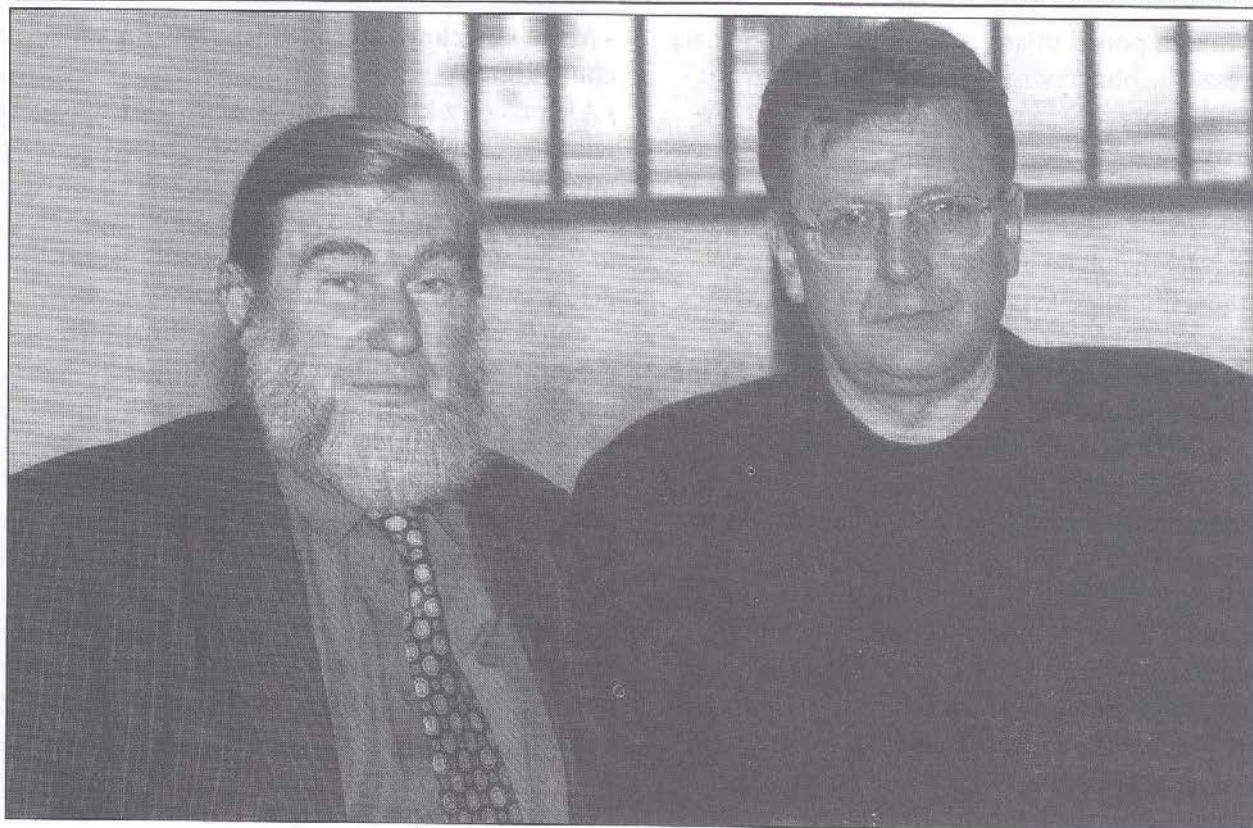
Gdybym zaczął wydawać wyłącznie poetów, których wielbię i szanuję, to za rok nie byłoby Iskier. Więcej, nikt by specjalnie nad nimi nie płakał. Szef prawdziwego wydawnictwa żyje w ciągłym rozdarciu. Najpierw zżerają go ambicje, a potem zauważa, że rzeczywistość skręczy i brakuje na płace dla ludzi. Należy więc pamiętać, że jest się, z jednej strony głównym księgowym, z drugiej – głównym krytykiem literackim.

- Odnoszę wrażenie, że w ostatniej dekadzie załamał się tradycyjny etos zażyłości na linii autor – wydawca. Wydawnictwa jako miejsca przyjaznego pisarzowi.

- Iskry pozostały jednak pewną instytucją kultury. Ludzie, którzy zwiążą się z Iskrami, nawet przypadkowo, poprzez jedną tylko książkę, nie chcą już z tego wydawnictwa odchodzić. Tak było w przypadku Stefana Kisielewskiego, Mariana Brandysa, Jerzego Waldorffa, a teraz Janusza Tazbira czy Józefa Hena. Być może Iskry to ostatnie wydawnictwo, gdzie autor może przyjść jak do klubu towarzysko-dyskusyjnego, pogadać z szefem, napić się kawy a do niej koniaczku, wyjść uśmiechniętym z naręczem nowych książek – podarków. Ludzie często przychodzą nie umówieni i tylko w wyjątkowych sytuacjach zdarza się, że ktoś musi poczekać albo odejść z kwitkiem. Przychodzą nie tylko pisarze, ale i publicyści, dziennikarze, wysokiej rangi urzędnicy, politycy i ci z lewicy i ci z prawicy. Każdy jest mile widziany, bo jako wydawca, niezależnie od mojej drogi życiowej, poglądy polityczne odsuwam na bok i wyrażam je jedynie podczas głosowania, za kotarą. Ale ten salon, czy też klub, wytwarza dość dobry klimat wokół firmy.

- Czyli zaprzecza pan mojej kwestii?

- To jest tendencja ogólna, mnie jednak ona nie dotyczy. Mój szacunek dla pisarza bierze się, powiedzmy, z moich kompleksów, bo ja wiem, co to znaczy napisać książkę. Potrafię wczuć się w ten proces wielkiej, trudnej i wyczerpującej roboty. To istna męka pańska. Tylko grafomanom pisanie idzie łatwo. Wie pan, to są dylematy każdego wrażliwego wydawcy, dla którego literatura też jest rodzajem pasji. Dajmy na to, przychodzi do mnie porządny autor, z książką niestety średnią, o której wiem, że sprzedam jej co najwyżej pięćset egzemplarzy.



Od lewej: Krzysztof Karasek, Wiesław Uchański

On w to nie chce uwierzyć. Bo w tym hipokrytycznym świecie wszyscy mu mówią: stary, jeśli tylko wydasz, my natychmiast kupimy tę książkę.

- A potem czekają, żeby ją dostać za darmo.

- Tak. Albo gdy spotykają go na ulicy, stwierdzają: nie można twojej książki nigdzie kupić. Wtedy znerwicowany autor pędzi do mnie i mówi: „ludzie skarżą się, bowiem mojej książki nie mogą nabyć”. Otóż, nie ma takiej książki, której księgarz, gdyby chciał, nie mógłby mieć. Co powiedzieć człowiekowi, któremu, moim zdaniem, książka nie udała się? Podjąć dyskusję merytoryczną? Nie ma twardego kanonu oceny jakości dzieła literackiego. Powiedzieć, że książka nie sprzedaje się, oznacza dyskusje ze zdarzeniami przyszłymi. Autor najczęściej mówi: „ależ o tej książce każdy napisze”. Kiedy jednak ukazuje się, media milczą.

- Dotąd niewiele osób zdaje sobie sprawę, że wciąż dokonuje się wielka rewolucja kulturalna. Dla młodych ludzi kultura zaczyna się od Beatlesów. Wszystko to, co było wcześniej, to jakaś pierwotna skamielina. Czy da

się jeszcze kontynuować dawne wzorce kulturowe, choćby te na linii autor-wydawca?

- Mówiłem już o klubie – miejscu życzliwym. Ale wydawca, jakim byłem dwanaście czy piętnaście lat temu i mam wrażenie, że jestem nim nadal, czyli tym, który kontaktuje się z autorem, czyta jego maszynopisy, prowadzi żywą dyskusję tego typu wydawca odchodzi powoli do lamusa. Obecnie wydawca musi być impresariem, czyli człowiekiem, który umie wykreować książkę. Zgadza się ze wszystkimi analitykami rynku, że w Polsce jest nadprodukcja książek, że zetknięcie się z księgarnią przyprawia czytelnika o zawrót głowy. Ja osobiście wpadam w depresję, kiedy wchodzę do EMPi-Ku. Na samym starcie jestem bez szans, choćby dlatego, że nie jestem w stanie spamiętać tych wszystkich tytułów. O tym czy książka zaistnieje decyduje nie tylko jej merytoryczna zawartość, nie tylko pietyzm wydania, ale sztuka zwrócenia na nią uwagi całej rzeszy czytelników. Tutaj, jak w przypadku proszków, past do zębów, kosmetyków, rozpoczyna się wyścig w kreacji produktu, w tym książkowego. Pojawia się paradoks, że oto znajdują się bardzo słabi pisarze, których łut szczęścia, osobiste kontakty, takie czy inne zbiegi okoliczności

wynoszą ponad miarę, a obok nich istnieje cała rzesza, w pozytywnym tego słowa znaczeniu - bidul, których wykreować się nie da. Ani wydawca, ani oni sami nie mogą stworzyć ze swego dzieła wydarzenia literackiego, ergo rynkowego. Zatem co najmniej połowę mojego czasu zajmują działania związane z promocją wychodzących u mnie książek. I to jest męczące.

- Rzeczywiście wątpliwa przyjemność, żadna zabawa duchowa.

- Są to poczynania marketingowo-promocyjne, jak w przypadku każdego innego towaru. Zasadniczo odrzucam tezę, że tomik poetycki jest towarem, ale w tym akurat sensie jest towarem i nic tego nie zmieni. Część autorów ma świadomość, że ta promocja jest wspólnym obowiązkiem moim i autora, część natomiast oczekuje, bym postępował jak ich osobisty impresario. Stąd częste nieporozumienia. Na przykład wydaję przyzwoitą książkę i ona nie osiąga sukcesu, ani medialnego, ani rynkowego. Rozczarowany autor przychodzi do mnie i pyta: co zrobiło wydawnictwo, żeby ta książka zaistniała? Przy każdej książce odbywa się spotkanie promocyjne, rozsyłane są egzemplarze recenzenckie, omawia się i pokazuje książkę w telewizji, w niektórych przypadkach drukuje się plakaty i banery, lecz w tym wyścigu niektórzy autorzy powiadają: mało - co zrobiono poza stolicą, dajmy na to na obrzeżach kraju?

- Ostatnio przysłał mi swoje trzy książki poetyckie znany aktor i piosenkarz. W tomikach, ładnie wydanych, w sztywnych obwolutach znajdowały się zakładki i pocztówki z podobizną autora. To się nazywa dbałość o własny wizerunek. A wiersze, cóż... Jest wielu innych, nie mniej utalentowanych, których po prostu nie stać na podobną dbałość...

- To jest dylemat, wokół którego w tej rozmowie wciąż krążymy. Wydaje mi się, że zawsze jest mnóstwo nie odkrytych poetów, o których nigdy się nie dowiemy. Nie wiem jak to się dzieje. Los nie jest dla nich łaskawy? Małe miasteczka, wsie na wstępie były ich wyrokiem? Nie mieli dojść do życziwego mecenasa? Nie wygrali konkursu? Nie wykluczam, że ich szuflady pełne są znakomitych wierszy. Brakuje im szczęścia? Umiejętności autokreacji?

- Może siły charakteru? Poeta musi mieć charakter.

- Ale przecież ktoś taki może pisać piękne wiersze. Otóż los nie jest sprawiedliwy. Czy można temu zaradzić? Też nie. Jeśli powiedziałbym teraz - ludzie przysyłajcie mi tomiki, to w dwa miesiące otrzymam pięćset maszynopisów. Średnio co drugi dzień proponuje mi się ocenę wierszy. To są zresztą skromne prośby, ale bywają też nieskromne, czyli przystępowanie od razu do warunków wydawniczo-finansowych itd. Nie mogę się temu poddawać, bo inaczej niczym innym nie mógłbym się zajmować. Polska jest krajem poetów - autentycznych i utalentowanych. Można by nimi obdzielić świat. Może wynika to z tego, że jako naród jesteśmy raczej leniwi. Oczywiście wiersz wymaga trudu i pracowitości, ale nie dorównują one wysiłkowi jaki trzeba włożyć w dzieło epickie.

- Bywa tak, że poeta całymi latami czeka na moment olśnienia. Ten czas wypełnia pracowitością na innych obszarach, powiedzmy - paraliterackich.

- Wiedziałem, że pan to powie.

- Czy to prawda, że wydawnictwo Iskry, znajduje się w warszawskim mieszkaniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego?

- Pisarz mieszkał tutaj od 1922 do 1936 roku. W prawdzie tej tkwi jednak pewna mistyfikacja, bo dom ten jeszcze przed wojną wybudowany został od nowa. Redakcja ma w nim siedzibę od 1952 roku. Jej wystrój, o który dbam, nawiązuje do dwudziestolecia międzywojennego. To kreacja i jednocześnie aranżacja z premedytacją. Odtworzenie domniemanego wydawnictwa z tamtej epoki. Boy w swoim mieszkaniu prowadził własne wydawnictwo „Bibliotekę Boya”, które zbankrutowało.

- Z jednej strony kontynuacja tego salonu czy też klubu, z drugiej strony wyposażenie Iskier ukazuje pana jako miłośnika piękna i dobrego smaku oraz konesera ładnych, stylowych przedmiotów.

- Spędzam w wydawnictwie tyle czasu, że muszę w tym miejscu dobrze się czuć. Wśród mebli z Ikei cierpiałbym zapewne na notoryczną migrenę. Ja w ogóle uważam, że życie człowieka to zaledwie epizod w życiu przedmiotów.

Mam monetę, która ma ponad dwa tysiące lat, kolekcję naporstków, aniołów porcelanowych, kieliszków, misternie wykonanych lasek. Lubię przedmioty z historią i duszą. Nie obchodzi mnie drogie przedmioty. Siedziba wydawnictwa na tyle wyróżnia się na tle innych wydawnictw, że każdy, kto tutaj wstąpi zapamiętuje ją na całe życie. Wreszcie uważam, że wydawnictwa powinny być miejscami pamięci o pisarzach. Ostatnio zaopiekowałem się archiwum Mariana Brandysa, niebawem trafi do Iskier archiwum Stefana Kisielewskiego. Udało mi się zebrać niezłą bibliotekę, w tym kilkadziesiąt książek z osobistymi dedykacjami Boya-Żeleńskiego. Mam sporo portretów pisarzy i zdjęć autorów związanych z Iskrami. Posiadam ich listy, rękopisy. Jak do muzeum przychodzą do mnie wycieczki szkolne. Czasami prowadzę dla nich lekcje o Boyu i Kisielu. To zupełnie inne oblicze Iskier – trochę muzealne, trochę dydaktyczne.

- Czy posiada pan jakieś pamiątki po Boyu?

- Trochę listów, dedykacje. Domniemywa się, że jedna z maszyn do pisania należała do niego, ale tego nie da się w żaden sposób sprawdzić. Po Boyu w ogóle niewiele zostało. Jego dom spłonął podczas Powstania Warszawskiego a on sam z jedną walizką wyjechał do Lwowa. Za to sporo rzeczy mam po Brandysie, Kisielu, Waldorffie.

- Na jednym ze spotkań promocyjnych powiedział pan o sobie – należę do wymierającego gatunku wydawców, nie nakładców. Mógłby pan to rozwinąć?

- Przed wojną mówiono o nakładcach, czyli ludziach, którzy lokują kapitał, by osiągnąć zyski, i wydawcach, czyli kimś kto kocha i kreuje książkę. Większość książek wydawanych przede mną, rodzi się w mojej obecności. Autorzy relacjonują mi ich treść, omawiają kolejne rozdziały, pytają co sędzę o tym albo tamtym ustępie. Słowem, odbywam konsultacje. Także inicjuję książki – na przykład książkę Hena o Boyu, „Leksykon samobójców” Piotra Sarzyńskiego, czy „Silva Rerum” Tazbira. Ten ostatni tytuł jest mojego autorstwa. Bywa, że dzwonię do pisarzy i pytam, czy mają coś na ukończeniu, gdyż byłbym skłonny dzieło to wydać. Nie jestem obdarzony talentem pisarskim, ale współuczestniczę w tworzeniu książ-

zek, co sprawia mi przyjemność. Ale i to się kończy, coraz więcej bowiem przybywa mi obowiązków księgowego i całej gamy zajęć przynależnych impresariatowi. Obawiam się, że funkcje te stają się już dominujące w działalności większości wydawnictw. Zaczynają się one dzielić na biedne i bogate. Bogate czyli te, których stać na działania promocyjne. Jesteśmy świadkami wyścigu pieniędzy a nie walki o wydanie dobrej i uczciwej książki. Zacznie w końcu chodzić o jakość promocji i zysków a nie o jakość książki. Iskry, które są średnim wydawnictwem nie będą większe, bo ja nie jestem w stanie przeczytać więcej książek, niż to czynię teraz. Nie chcę być szefem wydawniczego molocha. Chcę być wielkim wydawcą. Gdy czasami rozmawiam z tymi gigantami i proszę, aby przysłali mi taką czy inną książkę, odpowiadają mi pytaniem – czy myśmy coś takiego wydali? Jeżeli produkuje się kilkaset tytułów w roku, to nie da się tego ani przeczytać, ani spamiętać.

- Autorzy to czasami niewdzięczne i egoistyczne bestie. Nie dają się panu we znaki?

- Z tej zażyłości rodzą się też zadry. Podczas narodzin książki nawiązują się więzi przyjaźni między pisarzem i wydawcą. Wydawca to taki położnik. Myśli się o nim ciepło i z sympatią. Ale oczekuje się od niego, że jego emocjonalny stosunek do tego dziecka będzie wciąż trwał. Na przykład telefonuje do mnie autor i ma pretensję, że do niego nie dzwonię. A ja nie mam czasu, bo odbieram następne porody. Ależ położnik nie może chodzić nawet na chrzciny tych wszystkich dzieci, które odebrał! Stąd biorą się, w gruncie rzeczy, niepotrzebne rozczarowania, z posądzeniami o cynizm włącznie.

- Wróćmy do nakładców. Czy to oznacza, że wchodzimy w erę fabryk produkujących książki? A wydawnictwa typu Iskry to przeżytek?

- Mój najstarszy syn, który jest redaktorem naczelnym miesięczników dotyczących gier komputerowych w poważnej, zagranicznej firmie, zajmuje się właściwie podcinaniem gałęzi, na której ja teraz siedzę. Kiedyś go zapytałem, czy nie chciałby przejść do Iskier. A on na to: ojciec, ale to, co ty robisz należy do formacji zmierzchovej. Ale ja mu nie wierzę. Na świecie obok wielkich koncernów trwają wydaw-

Mam monetę, która ma ponad dwa tysiące lat, kolekcję naporstków, aniołów porcelanowych, kieliszków, misternie wykonanych lasek. Lubię przedmioty z historią i duszą. Nie obchodzą mnie drogie przedmioty. Siedziba wydawnictwa na tyle wyróżnia się na tle innych wydawnictw, że każdy, kto tutaj wstąpi zapamiętuje ją na całe życie. Wreszcie uważam, że wydawnictwa powinny być miejscami pamięci o pisarzach. Ostatnio zaopiekowałem się archiwum Mariana Brandysa, niebawem trafi do Iskier archiwum Stefana Kisielewskiego. Udało mi się zebrać niezłą bibliotekę, w tym kilkadziesiąt książek z osobistymi dedykacjami Boya-Żeleńskiego. Mam sporo portretów pisarzy i zdjęć autorów związanych z Iskrami. Posiadam ich listy, rękopisy. Jak do muzeum przychodzą do mnie wycieczki szkolne. Czasami prowadzę dla nich lekcje o Boyu i Kisielu. To zupełnie inne oblicze Iskier – trochę muzealne, trochę dydaktyczne.

- Czy posiada pan jakieś pamiątki po Boyu?

- Trochę listów, dedykacje. Domniemywa się, że jedna z maszyn do pisania należała do niego, ale tego nie da się w żaden sposób sprawdzić. Po Boyu w ogóle niewiele zostało. Jego dom spłonął podczas Powstania Warszawskiego a on sam z jedną walizką wyjechał do Lwowa. Za to sporo rzeczy mam po Brandysie, Kisielu, Waldorffie.

- Na jednym ze spotkań promocyjnych powiedział pan o sobie – należę do wymierającego gatunku wydawców, nie nakładców. Mógłby pan to rozwinąć?

- Przed wojną mówiono o nakładcach, czyli ludziach, którzy lokują kapitał, by osiągnąć zyski, i wydawcach, czyli kimś kto kocha i kreuje książkę. Większość książek wydawanych przede mną, rodzi się w mojej obecności. Autorzy relacjonują mi ich treść, omawiają kolejne rozdziały, pytają co sędzę o tym albo tamtym ustępie. Słowem, odbywam konsultacje. Także inicjuję książki – na przykład książkę Hena o Boyu, „Leksykon samobójców” Piotra Szaryńskiego, czy „Silva Rerum” Tazbira. Ten ostatni tytuł jest mojego autorstwa. Bywa, że dzwonię do pisarzy i pytam, czy mają coś na ukończeniu, gdyż byłbym skłonny dzieło to wydać. Nie jestem obdarzony talentem pisarskim, ale współuczestniczę w tworzeniu książek,

co sprawia mi przyjemność. Ale i to się kończy, coraz więcej bowiem przybywa mi obowiązków księgowego i całej gamy zajęć przynależnych impresariatowi. Obawiam się, że funkcje te stają się już dominujące w działalności większości wydawnictw. Zaczynają się one dzielić na biedne i bogate. Bogate czyli te, których stać na działania promocyjne. Jesteśmy świadkami wyścigu pieniędzy a nie walki o wydanie dobrej i uczciwej książki. Zacznie w końcu chodzić o jakość promocji i zysków a nie o jakość książki. Iskry, które są średnim wydawnictwem nie będą większe, bo ja nie jestem w stanie przeczytać więcej książek, niż to czynię teraz. Nie chcę być szefem wydawniczego molocha. Chcę być wielkim wydawcą. Gdy czasami rozmawiam z tymi gigantami i proszę, aby przysłali mi taką czy inną książkę, odpowiadają mi pytaniem – czy myśmy coś takiego wydali? Jeżeli produkuje się kilkaset tytułów w roku, to nie da się tego ani przeczytać, ani spamiętać.

- Autorzy to czasami niewdzięczne i egoistyczne bestie. Nie dają się panu we znaki?

- Z tej zażyłości rodzą się też zadry. Podczas narodzin książki nawiązują się więzi przyjaźni między pisarzem i wydawcą. Wydawca to taki położnik. Myśli się o nim ciepło i z sympatią. Ale oczekuje się od niego, że jego emocjonalny stosunek do tego dziecka będzie wciąż trwał. Na przykład telefonuje do mnie autor i ma pretensję, że do niego nie dzwonię. A ja nie mam czasu, bo odbieram następne porody. Ależ położnik nie może chodzić nawet na chrzciny tych wszystkich dzieci, które odebrał! Stąd biorą się, w gruncie rzeczy, niepotrzebne rozczarowania, z posądzeniami o cynizm włącznie.

- Wróćmy do nakładców. Czy to oznacza, że wchodzimy w erę fabryk produkujących książki? A wydawnictwa typu Iskry to przeżytek?

- Mój najstarszy syn, który jest redaktorem naczelnym miesięczników dotyczących gier komputerowych w poważnej, zagranicznej firmie, zajmuje się właściwie podcinaniem gałęzi, na której ja teraz siedzę. Kiedyś go zapytałem, czy nie chciałby przejść do Iskier. A on na to: ojciec, ale to, co ty robisz należy do formacji zmierzchovej. Ale ja mu nie wierzę. Na świecie obok wielkich koncernów trwają wydaw-

nictwa niszowe. To prawda, jest ich niewiele i często z powodów ekonomicznych upadają. Jeżeli Iskry w tym roku nie przyniosą zysków, będę musiał je zamknąć. Natomiast jeśli jakiś oddział wielkiego wydawnictwa w Polsce przynosić będzie straty przez pięć lat, to właściciele dołożą i przeczekają kryzys. Ja nie mam z czego dokładać. Robię to, ale w inny sposób. Po prostu w trudnych momentach, nie przyznaję sobie pensji. Zatem w przypadku Iskier słabość ekonomiczna polega na tym, że jeśli pomylę się co do pięciu kolejno wydanych tytułów i nie odniosą one sukcesu rynkowego, to pozostaje mi zwinięcie majdanu. W tym tkwi całe piękno polegające na ryzyku. To taki piękny poker. Cały czas grasz o wszystko. Przecież ja nie zwrócę się do samego siebie - przez dwa lata będziesz miał straty, bo trzeba zmienić program wydawniczy, ale za to za trzy lata wypłyniesz na szerokie wody. Z taką propozycją może pójść do swojego szefa mój syn.

- Pana wydawnictwa nie dotuje ministerstwo?

- Tylko w wyjątkowych sytuacjach zwracam się z taką prośbą. Znacznie częściej robi to ministerstwo i proponuje dotację, bo wiedzą, że moja firma ma bardzo niskie koszty własne. Pracujemy w 12-osobowym składzie. Koszt miesięcznego utrzymania Iskier kształtuje się na poziomie wynagrodzenia prezesa niejednego z wydawnictw. Iskry to trochę sekta. Ludzie, którzy u mnie pracują, nie przyszli do Iskier wyłącznie dla pieniędzy. Jeden z moich pracowników zgodził się na kilkakrotnie niższe zarobki niż w poprzednim miejscu pracy. Myślę, że ludzie chcą nie tylko zarabiać kasę, ale robić to, co lubią, żyć tak jak chcą. Wielu z moich redaktorów mogłoby natychmiast rzucić Iskry i znaleźć sobie lepszy układ finansowy, a jednak tego nie robią. Bywa, że czasem z powodów ekonomicznych muszę redukować zespół i wtedy jest to dla mnie dramat.

- Zdaje się, że pan podziwia literaturę, lubi pisarzy. Ma pan dla nich sporą dozę wyrozumiałości i tolerancji. Wydawca to taki spowiednik pisarza...

- Lubię to plemię, chyba nawet za bardzo. Mam ogromny, nieklamany szacunek dla ludzi piszących. Tak było zawsze, a od czasów kiedy studiowałem filozofię towarzyszyłem poetom,

pisarzom, łączyłem z nimi, dyskutowałem, piłem wódkę.

- Ostatnio wydał pan biografię Franza Fiszera. On też obracał się w środowiskach literackich, choć sam niczego nie napisał. Był przez nie lubiany jako kompan, humorysta, sarkastyczny, upadły ziemianin, utracjusz. Filozof? Czy nie widzi pan pewnych związków?

- Nie ukrywam, Fiszera jest mi bliski.

- Wszystko co przynosi owoce w kulturze nosi piętno autorstwa. Dotyczy to też instytucji pod warunkiem, że rosną one pod wpływem ich twórców lub nietuzinkowych osobowości, które nimi zawiadują. Czy możliwa jest „Piwnica pod Baranami” bez Skrzyneckiego albo „Teatr Laboratorium” bez Grotowskiego?

- Iskry też są dziełem autorskim. Są pasją, sposobem na życie. To jest moja praca i zarazem wypoczynek. Iskry to coś, o czym bez przerwy myślę. Jestem jednym z niewielu wydawców identyfikowanym z firmą z imienia i nazwiska. Jest jeszcze Jurek Illg, z którym byłem na zlocie hippisów w Dusznikach w 1969 roku i Andrzej Adamus z Wydawnictwa Dolnośląskiego. Gdyby ktoś zaproponował mi stanowisko wydawcy gdzie indziej, za pięciokrotnie wyższe pobyry, nawet bym nie drgnął. Nie umiem pracować wyłącznie dla forsy. Nie mam żadnego innego pomysłu na życie niż moje wydawnictwo. Mógłbym jeszcze zatrudnić się na uczelni. Kiedyś pracowałem na uniwersytecie, ale być podstarzałym adiunktem, to przecież śmieszne.

- Czy rzeczywiście nie widzi pan dla siebie innego miejsca poza Iskrami?

- Nie umiem już robić niczego innego. Moje pokolenie pięćdziesięcioparolatków wyrastało w kulcie książki, bo nie było innej alternatywy. Trzydzieści lat temu kiedy jeździłem pociągami, połowa ludzi czytała książki. Dziś czyta się gazety, kolorowe pisma, rozwiązuje krzyżówki albo niczego się nie czyta. Coś się zmieniło? Wszystko. Wówczas głód dobrej książki powodowany był cenzurą i reglamentacją papieru. Teraz cierpimy na jej nadmiar. Więcej jest książek niż czytelników, a liczba tych ostatnich wciąż maleje. Ci, którzy mają czas na czytanie, nie mają pieniędzy na ich kupowanie. Inteli-

gent, który pracuje w jakiejś firmie i sporo zarabia, od czasu do czasu przypomina sobie, że jest inteligentem, wpada do księgarni i kupuje kilka książek. Następnie kładzie je na nocnym stoliku z mocnym postanowieniem, że przeczyta. Ale kiedy wraca z pracy do domu jest tak skatowany, że odechciewa mu się wszystkiego a co dopiero książki. Potem narastający stosik wynosi do piwnicy i obiecuje sobie, że lekturę nadrobi na wakacjach. Lecz na wakacje bierze karton whisky a o książce zapomina. Książka dla tych ludzi jest ostatnim symbolem przynależności do warstwy inteligencji. Weszliśmy w czasy, w których intelektualista postrzegany jest jako dupek i frajer.

- **Czy ma pan na myśli etos bezinteresowności?**

- Bezinteresowność to część kultury. Tak rozumiem ją ja i zdaje się pan.

- **Z czego zrobiony jest ten pistolet leżący u pana na stole?**

- Przed wojną był słynny wydawca, Jakub Mortkowicz, który zastrzelił się, kiedy interesy zaczęły źle iść. Jego wnuczka Joanna Roniker-Olczakowa za książkę „Ogrody pamięci” uhonorowana została w 2002 roku nagrodą Nike. Ten tu pistolet jest z malachitu i przypomina mi o jednym z możliwych wyjść. Oczywiście żartuję... Iskry wciąż mają się dobrze. Z optymizmem patrzę na rozwój mojego wydawnictwa.

- **Dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiał: **Wojciech Kass**